

# BIBLIOTEKA Powszechna

Byron.



# MANFRED

poemat dramatyczny

przekład

Franciszka Morawskiego.



Każdy tomik można osobno nabyć

Nakładem i drukiem księgarni  
**WILHELMA ZUKERKANDLA**

W ZŁOCZOWIE.

NA SKŁADZIE  
w każdej księgarni.

Założona w roku 1874 firma Księgarska

## W. ZUKERKANDEL W ZŁOCZOWIE

wydaje od roku 1891 najtańsze w Polsce

== wydawnictwo pod nazwą ==

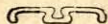
### „BIBLIOTEKA POWSZECHNA“

Biblioteka Powszechna wychodzi tomikami, z których każdy stanowi dla siebie odrębną całość, wyjątkowo obszerniejsze dzieła składają się z dwóch lub kilku tomików. Każdy tomik nabywać można w Księgarniach broszurowany, lub oprawiony.

Na treść tomików Biblioteki Powszechnej składa się wszystko co umysł ludzki zająć potrafi. Więc zawiera ona: dzieła poetyczne, opowieści, nowele, humoreski, dzieła sceniczne (tragedje, dramaty, komedje) tak polskich, jak i obcych pisarzy. Zawiera Biblioteka Powszechna dzieła ze wszystkich dziedzin wiedzy i nauki, jak z historii, historii literatury i t. p., z nauk przyrodniczych i t. d. Zawiera podręczniki do nauki języków, — z zakresu rozmaitych sportów, zabaw i gier, uwzględnia wszystkie potrzeby życia praktycznego.

BE CIAŁ DALSZY NA str. 3. OKŁADKI.

BYRON.



# MANFRED

POEMAT DRAMATYCZNY

PRZEKŁAD

FRANCISZKA MORAWSKIEGO.



LWÓW — ZŁOCZÓW.

Nakładem i drukiem księgarni Wilhelma Zukerkandla.

Obszerniejszy życiorys Byrona mieści się w »Bibliotece Powszechnej« nr. 66, zawierającym tegoż poety »Więźnia Czyllonu« w przekładzie również Fr. Morawskiego.

Redakcja „Bibl. Powsz.“



105857

K.109/80/117228

## OSOBY.

---

MANFRED.  
STRZELEC alpejski.  
OPAT z klasztoru św. Maurycego.  
MANUEL.  
HERMAN.  
WBÓŻKA Alp.  
ARIMAN.  
NEMEZYS.  
PRZEZNACZENIA.  
DUCHY.

Scena w wyższych Alpach, częścią w zamku  
Manfreda, częścią w górach.

---

## AKT PIERWSZY.

### SCENA I.

Manfred sam.

*Galerya gotycka. Północ.*

Trzeba dolać kagańca, lecz i wtenczas nawet  
Nie wystarczy tak długo, jak ja czuć muszę.  
Drzymanie moje, jeśli drzymię, nie, nie jest snem,  
Lecz jednym długim ciągiem nieprzepartej myśli.  
Jest coś w sercu co ciągle czuwa, a te oczy  
Na to tylko zamknięte, by wewnątrz patrzyły.  
Przecież czuję i żyję. Czuję, żem przybrany  
W kształt i postać człowieka. — Lecz smutek  
[być winien  
Nauczycielem mądrych. Boleść jest nauką.  
Ci, którzy tu najwięcej dociekli, zgłębili,  
Najgłębiej muszą boleć nad tą straszną prawdą,  
Że drzewo wiadomości nie jest drzewem życia.  
Filozofią, nauki, źródła cudów, mądrość  
Świata — wszystkim to zgłębił. Jest władza  
[w tej duszy,  
Która to wszystko w siebie zagarnąć umiała.

Lecz na nic się nie zdało. Dobrzem czynił ludziom,  
 Nie jednemu nawet dobre i od nich odebrał.  
 Lecz i to nie pomogło. Wrzałem nienawiścią:  
 Żaden wróg mnie nie przemógł, wielu z nich poległo.  
 Lecz i to nadaremnie. Dobre lub złe — życie —  
 Potęga — namiętności, wszystko to, com w innych  
 Widział, było tem dla mnie, czem jest deszcz dla  
 [piasku,

Od owej bezimiennej chwili. — Nie znam trwogi;  
 Czuję klątwę nieznania człowieka bojaźni,  
 Ni tych silnych uderzeń serca za nadzieją,  
 Życzeniem lub miłością czegoś bądź na ziemi.

0 Teraz do dzieła mego! — Tajemnicze władze,  
 Duchy niezmiernego ogromu stworzenia;  
 Wy, których tak w ciemności, jak światło szukałem,  
 Co ziemię opływacie — w najczystszej żywiołów  
 Zamieszkujecie treści, wy, których pobytam  
 Zwykłym są gór najwyższych niedostępne wierzchy,  
 A głębie ziemi, morza, powszednim widokiem:  
 Powołuję was przez ten urok napisany,  
 Któremi mi daje władzę nad wami. Powstańcie!  
 Ukażcie się!... Nie chcecie? — A więc przez głos Tego,  
 Co wśród was jest najpierwszym, przez ten znak,  
 [przed którym

Drżycie, na rozkaz Tego, co jest nieśmiertelnym,  
 Powstańcie, ukażcie się!... Co! jeszcze nie chcecie?  
 Duchy ziemi, powietrza, nie ujdziecie mi tak  
 Łatwo. — Przez tę potęgę, silniejszą nad wszystkie,  
 Którem dotąd wymienił przez tę klątwę klątwę,

Która na potępionej wyległa się gwiazdzie,  
 Gorejącej ruinie zburzonego świata,  
 Piekło podróżującym po odwiecznych sferach,  
 Przez te przekleństwa, które na duszy mi ciężę,  
 Nakazuję — powstańcie! [wzywam was,

Ukazuje się gwiazda w najciemniejszej głębi galeryi, stała,  
 nieruchoma. Słychać głos śpiewający.

*Pierwszy Duch.* Ściągniony mocą uroku,  
 Przybywam z głębi obłoku,  
 Który tworzy  
 Oddech zorzy,  
 A gasnące  
 Barwiąc słońce

Pasem, szafirem i złotem  
 Lotnym mię stoni namiotem.  
 Mógłbym wzgardzić słowy twemi,  
 Przecież ku twemu życiu  
 Spłynąłem tu na promieniu,  
 Czegoż pragniesz, synu ziemi?

*Drugi Duch.* Montblanc jest królem nad góry,  
 Z wieków osiadł tron skalisty;  
 Płaszczem jego czarne chmury,  
 A koroną śnieg wieczysty.  
 Czarnym lasem przepasany  
 W rękę swym trzyma lawinę;  
 Lecz nim ją ciśnie w dolinę,  
 Czeką na znak przez mnie dany.  
 Lodozwałów tłum ruchomy

Ciągle naprzód postępuje;  
 Ale ja to te ogromy  
 I popycham i wstrzymuję.  
 Jestem duchem tej krainy,  
 Kiedy zechcę, górę skruszę,  
 W ich podstawach Alpy wzruszę;  
 Czegoż pragniesz, zlepku gliny?

*Trzeci Duch.* Tam, gdzie toń ciemna, straszliwa,  
 Gdzie wiatr nigdy nie dosięże,  
 Woda w wiecznym śnie spoczywa,  
 A morskie gnieźdzą się węże;  
 Gdzie Syrena włos zielony  
 Wieńczy w muszle oceanu,  
 Tam, jakby na huk orkanu,  
 Wstałem twym głosem zbudzony.  
 Koralewe me podwoje  
 Echem ozwały się głuchem;  
 Odstoń mi żądania twoje,  
 Jestem Oceanu duchem.

*Czwarty Duch.* Gdzie trzęsienie ziemi śpiące  
 Na wezgłowiu lawy leży,  
 A jeziora siarką wrzące  
 Wykpiają z swych nadbrzeży,  
 Gdzie Andów korzeń rozrosły  
 Tak daleko w ziemię wryty,  
 Jak daleko wierzch ich wzniosły  
 W górne wystrzelił błękity;  
 Z tej to rodzinnej pieczary  
 Spieszę tu na twe wezwanie,

Zmusiłeś mię twymi czary,  
 Jakież jest twoje żądanie?

*Piąty Duch.* Mym rumakiem jest nawała,  
 Co każe, łamie, roztrąca;  
 Burza, co za mną została,  
 Jeszcze od gromów gorąca.  
 Na wietrzem tutaj przyplynał,  
 Na morzu flotę przeminał.  
 Śmiało szumne pruća tonie,  
 Tej nocy morze ją schłonie.

*Szósty Duch.* Wieczna noc czarnym osłania mię  
 [mrokiem,

*Czemuż mię dręczysz tym światłą widokiem?*  
*Siódmy Duch.* Gwiazdą, co losy rozrządza twojemi,  
 Rządziłem jeszcze przed stworzeniem ziemi.  
 Był to świat piękny, ciąglą wiosną stynny,  
 Któremu żaden świat nie zrównał inny.  
 Krążył on wolny i nie zbaczał z toru,  
 Najmilsze dziecię u łona przestworu.  
 Wtem przyszła chwila — i z cudu stworzenia  
 W sprośny się płomień, błędną masę zmienia.  
 Krwawym kometą niebiosa przelata,  
 Leci kłątwą, groźbą świata,  
 Pierworodna pcha go siła,  
 Droga ślepych pędzi losów,  
 Świetna, krwawa, sprośna bryła,  
 Szkarada, potwór niebiosów!

A ty robaku! ty, którego władza  
 Mimo mej wzgardy aż tu mię sprowadza,

Ta władza, którą na czas ci tu dano,  
Aby ją później przez moją złamano;  
Ty, co mię tutaj ściągnąłeś na chwilę,  
Gdzie słabe duchy korząc się nizeziemnie,  
Z tobą tu mówią, z tobą, ziemski pyle,  
Ozwij się, powiedz, czego chcesz odemnie?

*Wszystkie siedm Duchów.*

Ziemią, morzem; górami, wichrem, ogniem, nocą,  
Gwiazdą twoją rozrządzaj — pod twoją są mocą.  
Wszystkie ich duchy słowy ściągnąłeś twojemi,  
Czegoż chcesz od nich, powiedz, synu ziemi?

*Manfred.* Zapomnienia.

*Duch pierwszy.* Zapomnieć chcesz? — Kogo  
[i czego?

*Manfred.* Tego, co tu jest we mnie. Czytajcie  
[w mem sercu,

Wy to znacie, ja tego wysłowić nie umiem.

*Duch.* Co sami posiadamy, to tylko dać możemy.  
Żądaj od nas poddanych, władzy nad tym światem,  
Nad całym lub też częścią — żądaj tego znaku,  
Który nam posłusznymi rządzi żywiołami;  
Tego po nas wymagaj, wszystko będzie twojem.

*Manfred.* Zapomnienia jedynie, zapomnienia siebie.  
Tak szczerze mi rozwarłszy tyle państw tajemnych,  
Nie zdołacież z nich dobyć życzeń moich celu?

*Duch.* Nie jest to w naszej mocy, ni naszej naturze,  
Jednakże — możesz umrzeć.

*Manfred.* Czyż z śmiercią zapomnę?

*Duch.* My, cośmy nieśmiertelni, zapomnieć nie  
[możem,  
Jesteśmy wieczni. Dla nas przeszłość jest tem samem,  
Czem przyszłość i obecność. Jasneż ci te słowa?

*Manfred.* Szydzicie, lecz ta władza, co was tu  
[przywiodła.

Mnie was poddała. Wola moja! niewolniki.  
Ta dusza moja, ten duch, iskra Prometeja,  
Ten błysk mojej istności, jak wasz, tak jest jasny,  
Jak wasz, tak przenikliwy, i w taką dal sięga  
Jak wy, mimo, że wparty w to więzienie z gliny.  
Dajcie odpowiedź, albo poznaćcie, co mogę.

*Duch.* Dajemy już raz daną. Ta odpowiedź wreszcie  
Jest w twoich własnych słowach.

*Manfred.* Jak to rozumiecie?

*Duch.* Jeśli naszej natury, jak to sam powiadasz,  
Jużeśmy ci odrzekli, mówiąc, że co człowiek  
Śmiercią u was nazywa, nam jest nieznanome.

*Manfred.* A więc na próżnom was z swych skry-

[tych państw wywołał,  
Nie możecie, albo też nie chcecie mi pomóc.

*Duch.* Dajem, co posiadamy. Żądaj, będzie twojem,  
Namyśl się, nim ulecim. Żądaj podług woli,  
Tronu, rządu, potęgi lub długiego życia.

*Manfred.* Przeklęty! — i na cóż mi dłuższe zda  
[się życie?

I tak już nazbyt długie. Precz stąd, precz odemnie.

*Duch.* Wstrzymaj się. Raz tu będąc, pragniem  
[ci dopomóż.

Namysł się, czyli niema już innego daru,  
Co byłby w naszej mocy, a dość godny ciebie.

*Manfred.* Nie — niema. Przecież stojcie. Wprzód  
[nim się rozłączym,  
Chciałbym się wam przypatrzeć, śmiało, oko w oko.  
Słyszę stąd wasze głosy, słodkie, smętne dźwięki,  
Jak muzykę na wodach. Widzę nieruchomą,  
Jasną, szeroką gwiazdę, lecz nad to nic więcej.  
Przybliżcie się tu do mnie, jakimi jesteście,  
Lub jeden, lub też wszyscy, w waszych zwykłych  
[kształtach.

*Duch.* Nie mamy innych kształtów prócz kształtu  
[żywiółów,  
Których razem pierwiastkiem i duszą jesteśmy.  
Lecz wybierz sobie postać, a w tej się ukażem.

*Manfred.* Niema dla mnie wyboru. Niema już  
[na ziemi  
Brzydkich ni pięknych kształtów. — Niech najpo-  
[tężniejszy

Wśród was taką przybierze postać, jaką uzna  
Za najlepszą dla siebie. — Jaw się, stań przedemną!

*Duch siódmy* ukazujący się w postaci pięknej kobiety.  
Patrz!

*Manfred.* Nieba! jeśli tak jest, jeśli ty nie jesteś  
Złudzeniem lub szyderstwem, jeszcze, jeszcze  
[mógłbym

Zostać szczęśliwym. O pójdz tu w moje objęcie!  
A znowu, znowu będziem. Widmo znika. Serce moje  
[pękło!

Manfred pada bez zmysłów. Słychać nad nim głos następnego śpiewu.

*Śpiew.* Gdy księżyc w morskiej odbije się fali,  
Świecący robak w pośród traw zabłyśnie,  
Gdy się meteor nad grobem zapali,  
I z stęchłych bagnisk drżący ognik tryśnie,  
Gdy lotne gwiazdy zaczną z niebios spadać,  
I sowa sowie hukiem odpowiadać,  
Gdy wszystko zimną pokryje się nocą,  
Żaden się listek w cieniu gór nie wzruszy,  
Wtenczas ja z moim i znakiem i mocą  
Będę na twej ciężył duszy.

Choćbyś w najgłębszym nawet śnie spoczywał,  
Próżno go będziesz dla duszy twej wzywał.  
Są cienie, co się rozprószyć nie dadzą,  
Są myśli, żadną nieodpartą władzą;  
Ciągłe i straszna i nieznana siła  
Będzie ci twoją samotność kłóciła.  
Jesteś jak czechłem śmierci obwiniały,  
Jesteś jak w czarnym obłoku zamknięty,  
I nic cię z tego zaklętego koła  
Nigdy już wyrzeć nie zdoła.

Kiedy przed oczy przyplynie twojami,  
Choć mię nie ujrzyś, poczujesz mię niemi,  
Jako istotę dziwnego zjawiska,  
Co niewidzialna, przecież ciebie blizka;  
A gdy tak mrozem trwogi zadrżysz cały,  
Zwolna za siebie zwrócisz oko twoje,  
Dziwić się będziesz, nie pojmiesz zdumiały,



Skąd ja za tobą, jak cień twój nie stoję;  
 A to, co ciebie takim dreszczem wzruszy,  
 Z twojej tylko przyjdzie duszy.

Okropne słowa tajemniczej siły  
 Straszna, wieczystą klątwą cię ochrzcili,  
 Jest duch w powietrzu, co cię pęty swemi  
 Ujął, usidlił i skępował niemi;  
 Będziesz głos słyszał w pośród wiatrów wycia,  
 Który ci zmiesza wszelką rozkosz życia;  
 Noc na to swoim cieniem cię pokryje,  
 By w piersiach twoich jątrzyć zgryzot żmije,  
 A dzień ci będzie wydawał się wieczny,  
 Tak cię zdręczy blask słoneczny.

Z fałszu łez twoich wysączyłem jady  
 Z własnością silnej i szybkiej zagłady,  
 Wziąłem krew w sercu czerpiącą się twojem,  
 Tam gdzie najbrzydszym przetacza się źródłem,  
 Z uśmiechu twego wyłowiłem żmije,  
 Co się w nim, jakby w pośród wrzosów wije;  
 Usta me z ust twych taki jad wypity,  
 Który tym wszystkim jadom dodał siły;  
 Wziąłem, przeszedłem trucizn szereg cały,  
 Żadne twojej nie zrównały.

Przez te bezdenne zrad głębiny,  
 Przez ten lód serca i uśmiech gadziny,  
 Przez te kłamane okiem twojem cnoty,

Przez wszystkie duszy twej fałsze, sromoty,  
 Przez zbrodnie w pozór ludzkości przybrane,  
 Przez to tak sztuczne, dokładne oszczerstwo,  
 Przez te rozkosze z cudzych mąk wysane,  
 Przez to okropne z Kainem braterstwo,  
 Wzywam, zarzekam i potępiam ciebie,  
 Zostań sam piekłem dla siebie.

I na twą głowę wylewam tę czarę,  
 Co na tę straszna poświęca cię karę.  
 Nigdy się kresu mąk twych nie dowołasz,  
 Nie zdołasz zasnąć, ni umrzeć nie zdołasz;  
 A gdy już będziesz mniemał się przy kresie,  
 Śmierć ci nie ulgę, lecz postrach przyniesie.  
 Ha! klątwa działa — już się ciebie chwyta,  
 Już bezdźwięcznymi krępuje cię pęty,  
 Cała twa istność tą klątwą przeszyta,  
 Giń więc i więdnij — przeklęty!

## SCENA II.

*Góra Jungfrau. Poranek.*

Manfred sam na skałach.

Duchy, którem przywołał, uciekły odemnie,  
 Zawiodła sztuka zaklęć, z trudem wyuczona;  
 To, co miało uleczyć, trucizną się stało.  
 Nie, nie spuszczam się więcej na pomoc nadludzka,  
 Przeszłość nie jest w jej władzy, a póki ta przeszłość  
 Nie zatonie w ciemności, o przyszłość już nie dbam.

O ziemię, matko moja! ty ranku młodzieńczy,  
I wy góry, dlaczegoż tak piękne jesteście?  
Nie mogę was pokochać. — Świetne oko świata,  
Ty, co wschodzisz dla wszystkich, w wszystkich

[radość budzisz,

Mojego ty już serca roświecić nie zdołasz.  
Skały, na których zrebie przepaścistym stoje,  
I tam w tej mglistej głębi, nad brzegiem potoku,  
W tej ciemnej, strasznej dali, wzniosłe widzę sosny  
Zdrobnione jakby krzewy — gdy jeden krok, jedno  
Zachwianie się, a nawet jeden oddech mógłby  
Piersz moją rozbić o to kamieniste łożo,  
I sercu pokój wrócić — czemuż się wstrzymuję?  
Czuję popęd, a przecież nie rzucam się w głębię,  
Widzę niebezpieczeństwo, a nie cofam kroku.  
Zawrót to głową chwieje, noga silnie stoi.  
Jest nademną potęga, która mię wstrzymuje  
I jakąś tajną kłatwą do życia mię zmusza,  
Jeżeli dźwigać tę ciężką ezczość, pustynię ducha,  
Być grobem własnej duszy, życiem zwać się może,  
Gdyż przestałem przed sobą uniewinniać siebie  
I tak ostatnią zbrodni zwyciężyłem słabość.

Orzeł przelata.

Ha! lotny gończe, górne prujący obłoki,  
Ty, co tak błogim pędem szczytu niebios sięgasz,  
Tak blisko mnie przelatasz, bo mam być twym łupem,  
Nasyćcie twe pisklęta. — Uciekłeś! — Nie zgonię  
Cię okiem, gdy ty w górę, w dół i wkrós przezierasz  
Strzałą wzroku orlego. O jakże jest piękny,

Jak uroczy, wspaniały ten świat niezmierny,  
Jakże w swoim działaniu, jak sam w sobie wielki.  
Lecz my, co panów jego przybieramy imię,  
My pół prochu, pół bóstwa, niezdolni spaść niżej,  
Niezdolni wyżej wlecieć — my to podwójnością  
Natury naszej pokój żywiołów burzymy;  
Raz pychę oddychamy, drugi raz podłością,  
Kłócimy wzniosłe myśli z niskimi potrzeby,  
Póki wreszcie śmiertelność nie przemoże nasza  
I człowiek tem się staje, czego ani sobie,  
Ani innym nie wyzna. Słuchaj odgłos fletu,

Słychać w dali flety pasterskie.

Alpejskiego pasterza nieuczzone dźwięki!  
Tu jeszcze nie są bajką dni złotego wieku.  
Jakże mile te tony w wolnem brzmia powietrzu,  
Zmieszane z głosem dzwonek igrającej trzody.  
Radbym duszą te echa wypić — o czemuż nie  
Jestem lubego dźwięku duchem tajemniczym,  
Głosem żyjącym — technieniem harmonii — lotną,  
Eteryzną rozkoszą — abym mógł zarazem  
Żyć i umrzeć z tym dźwiękiem, coby dał mi życie

Wchodzi na górę strzelec alpejski.

Strzelec. Tędy mi uciekł kozioł — tutaj znikł  
[mi z oczu.

Zdobycz moja nie warta tego, com dziś ważył;  
Ale któż to? — nie strzelec, a przecież się wdrapał  
Tam, gdzie żaden się z naszych nie dostał górali,  
Wyjawszy kilku strzelców. Ubiór jego dobry,



Na twarzy śmiałość, oko jak gdyby wolnego  
Szwajcara dumne. Muszę się zbliżyć.

*Manfred* nie widząc strzelca. Takim być,  
Osiwiałym troskami — jak te uschłe sosny,  
Ruiny jednej zimy — bez kory — gałęzi —  
Na giąącym korzeniu pnium zgastym, umarłym,  
Co tyle tylko czuje, że ciągle domiera.  
I być takim, i wiecznie tylko takim, i już  
Nigdy jak dawniej! — zostać zmarszczkami zoranym,  
Które nie długie lata, lecz chwile wryły,  
Godziny męczarniami zamienione w wieki.  
Takim być i żyć jeszcze! — Wzniosłe skały lodu,  
Lawiny, które jeden oddech zwiewa, góry  
Zasypujące wami — przywalcie mię, ruńcie!  
Słyszę was, jak co chwila nademną, podemną,  
Zawalacie się z grzotem, mnie mijając zawsze.  
Tam tylko upadacie, gdzie miłem jest życie,  
Na las młody, kwitnący, cichą skromną chatę,  
Spokojne niewinnego wieśniaka siedziby.

*Strzelec.* Mgła się wznosi z doliny, ostrzedz go  
Inaczej może drogę i życie utracić. [potrzeba,

*Manfred.* Mgły krążą naokoło lodozwałów. Chmury  
W białych, siarczastych kłębach wirują podemną,  
Jak piana wzburzonego oceanu piekła,  
Co ciągnęłam wałów szturmem bije o brzeg życia.  
Zastany potępiencem jakby żwirem morza.  
Ćmi się mi w oczach.

*Strzelec.* Muszę zwolna się przybliżyć,  
Zbyt nagle przystępując mógłbym go przerazić,  
A i tak chwiać się zdaje.

*Manfred.* Całe góry padły,  
Zostawiwszy po sobie wielkie w chmurach próżnie,  
Wstrzęsły hukiem upadu pobratymcze Alpy,  
Zgniotły gruzem zniszczenia wdzięcznych dolin  
[żniwa,

Rzeki nagle przecięte wstecznym buchły warem,  
Wody w mgły się rozprysły i źródła zapchane  
Musiały bieg swój zmienić, nowych koryt szukać.  
Tak pod lat swych ciężarem padł niegdys Rozen-  
Czemuż pod nim nie stałem? [berg.

*Strzelec.* Strzeż się, przyjacielu.  
Krok jeszcze a śmierć znajdziesz. Nie stój nad  
[tym brzegiem,

Nie stój, przez miłość Tego, który stworzył ciebie.  
*Manfred* nie słysząc go.

Taki właśnie grób dla mnie byłby przyzwoitym,  
Moje kości spokojnie leżałyby w głębi,  
Nie byłyby rozsiane po tych nagich gładach,  
Na grę wiatrów — jak teraz będą — teraz! po tym  
Skoku w przepaść. — Żegnam cię, rozjaśniające się  
Niebo! — O nie patrz na mnie z tym srogim wy-  
[rzutem.

Nie dla mnie cię stworzono. Ziemi! przyjmij proch  
[twój!

W chwili, gdy *Manfred* chce się rzucić w przepaść, *strzelec* go  
nagle chwyta i wstrzymuje.

*Strzelec.* Stój, szaleńcze! — Chociażes sobie zbrzy-  
[dził życie,  
Nie plam tych czystych dolin twoją krwią zbrodniczą;

Precz mi stąd, uchodź zemną, z rąk cię mych nie

[puszczę.

*Manfred.* Bolesć to serca mego... nie chwytaj

[mię... puszczaj.

Cały osłabłem... góry w około mnie wielkim

Toczą się kręgiem... wzrok mój ściemniał... kto ty

[jesteś?

*Strzelec.* Potem dam ci odpowiedź — teraz

[uchodź ze mną,

Chmury w górze gęstnieją — tu, oprzej się na mnie,

Postaw tu nogę — tutaj — wspieraj się tym kijem,

Uchwyc się tego krzaku — teraz podaj rękę —

Trzymaj się mego pasa — zwolna — Dobrze, dobrze,

Za godzinę staniem u chatki. Wkrótce będziem

Stąpać bezpiecznie; dojdziem do tej nowej ścieżki,

Którą potok wiosennym wyżłobił roztopem.

Dalej — dobrze — przedziwnie — tyś na strzelca

[stworzon.

W chwili gdy z trudnością z skał schodzą, scena się zamyka.

## AKT DRUGI.

*Chata w Alpach Berneńskich.*

SCENA I.

*Manfred i Strzelec.*

*Strzelec.* Nie — nie — musisz wypocząć, nie mo-

[jesz pójść teraz,

Ciało nazbyt zmęczone, dusza niespokojna,

Byś mógł sobie zaufać. Czekać kilka godzin,  
Skoro do sił powrócisz, sam cię przeprowadzę.

Ale — dokąd?

*Manfred.* Nie trzeba. Droga mi wiadoma,  
Trafię bez przewodnika.

*Strzelec.* Twoja szata, postać  
Świadczą jasno, że jesteś wysokiego rodu,  
Jednym z tych władców, których ozamezone skały  
Patrzą w dolin niziny. Któraż cię z nich zowie  
Panem swoim? Mnie tylko bramy ich są znane;  
Moje życie strzeleckie rzadko mi dozwala  
Wejść tam i siaść przy wielkim zamków tych  
[ognisku,

Pohulać z wasalami. Wszystkie przecież ścieżki,  
Które z gór tych do waszych prowadzą tam zamków,  
Znane mi są z dziecństwa. Któryż z nich jest twoim?

*Manfred.* Na co ci o tem wiedzieć?

*Strzelec.* Wybacz ciekawości,  
Bądź lepszej myśli, panie. Spróbuj tego wina,  
Rozgrzewało krew moją wśród tych dzikich lodów,  
Niech i ciebie pokrzepi. Wypij, wypij do mnie.

*Manfred.* Precz, precz, krew jest na brzegu.  
[Nigdyż więc już, nigdy

Nie wsiąknie w ziemię!

*Strzelec.* Panie! cóżto mniemasz przez to?  
Jesteś jak w obląkanu.

*Manfred.* Krew, mówię, krew moja,  
Czysty, gorący strumień, co w żyłach mych ojców,  
Co w naszych płynął żyłach, gdyśmy młodzi byli

I jedno mieli serce, — i tak się kochali,  
 Jak się kochać nie wolno. Ta to krew przelana.  
 Ale ciągle powstaje i czerwieniąc chmury,  
 Od niebios mię odpycha — w których ty nie jesteś,  
 I ja nigdy nie będę.

*Strzelec.* Człowieku słów dziwnych!  
 Jakiś grzech do szaleństwa cię przywiódł i pustość  
 Zaludnia ci marami. Lecz jaki bądź przestach  
 Lub też boleść cię dręczący, jest zawsze pociecha,  
 Jest pomoc świętych mężów, cierpliwość niebieska.

*Manfred.* Cierpliwość i cierpliwość. Słowo to  
 [stworzone

Dla bydła w jarmie, nie zaś dla ptaków drapieżnych.  
 Rozprawiaj o niej ludziom, co tobie podobni,  
 Jam nie jest z waszej liczby.

*Strzelec.* Dzięki, dzięki niebu,  
 Za sławę nawet Tella nie chciałbym być tobą!  
 Lecz jaka bądź niedola, trzeba ją tu znosić,  
 I dzikie z nią zapasy nie ci nie pomogą.

*Manfred.* Czyż nie znoszę? — patrz, żyję.

*Strzelec.* Nie zdrowość to życia,  
 Ale jego gorączka.

*Manfred.* Człowieku, przeżyłem  
 Lat wiele — długich, długich lat, ale niczem są  
 Przy tych, co mię czekają — ach! wieki i wieki —  
 Niezmierzoność i wieczność — i ta wiedza siebie  
 I dzika żądza śmierci — nigdy nie zgaszona!

*Strzelec.* Jakto? ledwie że męskie dojrzały ci lata.  
 Jam daleko jest starszym.

*Manfred.* Więc mniemasz, że życie  
 Od czasu tu zawisło. Zapewne — lecz czyni  
 Są dla nas epokami. Te to czyni moje  
 Zmieniły mi dni, noce w nigdy nieprzebyte,  
 Nieskończone — a wszystkie tak podobne sobie  
 Jakby piasek nad morzem — niezliczne atomy —  
 Pustynia płonna, zimna, ciągle morzem bita  
 I na której nic niema prócz skał, trupów, szczętów  
 Rozbicia — i nasiąkłych solą zielsk goryczy.

*Strzelec.* Niestety! on szalony. Nie mogę go puścić.

*Manfred.* O! czemuż nim nie jestem. Wszystko  
 Snem by tylko bezładnym było. [to co widzę,

*Strzelec.* I cóż widzisz?  
 Lub zda ci się, że widzisz?

*Manfred.* Widzę mnie i ciebie,  
 Alpejskiego wieśniaka — twoje ciche cnoty,  
 Dach gościnnie — cierpliwość — wiarę — dumę —  
 [wolność,

Szacunek siebie — owoc niewinności myśli,  
 Dni zdrowia — noce senne — trudy uzaenione  
 Niebezpieczeństwem, przecież niewinne — nadzieję  
 Lat długich i swobodnych — wreszcie grób spokojny,  
 Na zielonej murawie krzyż i wieniec kwiatów,  
 A miłość i łzy wnuków za nagrobek cały.  
 To ja widzę — a potem patrzę wewnątrz siebie,  
 Lecz na co? — dusza moja już zdawna popiołem.

*Strzelec.* Więc chciałbyś dolę twoją na moją  
 [zamienić?

*Manfred.* Nie! nie chciałbym cię gubić. Z nikim-

[bym na świecie

Nie mieniał się na dolę. Znoszę ją. Jakkolwiek Okropna, znieść ją można. W życiu rzeczywiście Znoszę, czego by inni w śnie nawet nie znieśli. Zabiłby ich sen taki.

*Strzelec.* I z taką tkliwością

Na boleść bliźnich, tybyś miał być zrodnia-

[rzem? — Nie!

Nie mów tego. Czyż można z tą dobrocią w duszy W krwi wrogów szukać zemsty?

*Manfred.* O nie, nie. Jam zgrzeszył Przeciw tym, co mię tklawie kochali i których Sam kochałem nad życie. Żadnego z mych wrogów, Oprócz w słusznej obronie, nie zgładziłem z zemsty, Ale w uściskach moich śmierć była.

*Strzelec.* Niech ci Bóg

Zwróci pokój, a skrucha dawne zwróci życie; Nie zapomnę cię w modłach.

*Manfred.* Mnie modłów nie trzeba, Lecz mogę znieść twą litość. Odchodzę. Czas na [mnie.

Żegnam cię. Masz tu złoto, — dzięki. Ani słowa. Bierz, jako ci należne. Zostań, nie chodź za mną, Wiem drogę, i znów w górach wszystko jest bez-

[pieczne.

Raz jeszcze, nie chodź za mną — taka moja wola.

*Manfred* odchodzi.

## SCENA II.

*Dolina w Alpach. Wodospad.*

*Manfred* wchodzi.

Jeszcze nie jest południe. Jeszcze promień słońca Trójkolnym niebios łukiem grzmiący potok stroi, A spadając tym srebrnym, zbałwanionym słupem Z owych skał tak straszliwie przepaścisto stromych, Rzuca wzdłuż lśniące smugi spienionego światła. — Słup się ten tak potrząsa, jakby trząsł swą kitą Ów koń blady — koń olbrzym — na którym śmierć

[jedzie

W księdze Apokalipsy. — Sam ja mojem okiem, Sam tylko piję teraz urok tej piękności I tak błogo samotny, sam tu z miejsc tych duchem Dzielę się wód tych hołdem. — Wezmę tego ducha.

*Manfred* bierze na dłoń nieco wody, ciska nią w powietrze, cicho wymawiając zaklęcia. Wróżka Alp pokazuje się pod tęczą potoku.

Duchu piękny! z tym włosem promiennym, z tem [okiem.

Co blaskiem swym ocienia. Ty, w którym się piękność Najpiękniejszych cór ziemi w boską kształci postać, W istność czystych żywiołów! ten kwiat twego lica Podobny jest rumieńcom uśpionej dzieciny, Macierzyńskiego serca kołysanej biciem; Podobny barwie róży, którą zorza letnia Powleka śnieg dziewiczy szczytnych opok lodu (Zrumienienie się ziemi w objęciu niebiosów). — Ta to młodość ojaśnia twą postać niebiańską

I gasi piękność tęczy wiszącej nad tobą.  
 Duchu piękny! w twem jasnym i pogodnem czole,  
 W tem tak czystem zwierciadle spokojności duszy,  
 Która sama już przez się nieśmiertelność świadczy,  
 Czytam, że mi przebaczysz, mnie, synowi ziemi,  
 Któremu nieraz tajne pozwalają władze  
 Obcowania z duchami (gdy na tem przyzwaniu  
 Zyskać mogę) przebaczysz, żem cię tu wywołał,  
 By chwilę patrzeć na cię.

*Wróżka.* Znam cię, synu ziemi,  
 Znam cię jako człowieka i myśli i czynów,  
 Równie złych jak i dobrych, lecz zawsze nad miarę.  
 Znam jak twórcę twych cierpień — skazanego na nie.  
 Czekałam tu na ciebie. Czegoż chcesz odemnie?

*Manfred.* Chcę patrzeć na twą piękność. Nic

[więcej nie żądam,  
 Widok ziemi przywiódł mię do szału. Szukałem  
 Więc ratunku w jej tajniach. Wdarłem się do ciemnic  
 Tych władz, które nią rządzą — lecz mi nie pomogły.  
 Już ich odtąd nie wezwę.

*Wróżka.* Czegoż mogłeś żądać,  
 Coby nie było w mocy możnych — w mocy władców  
 Świata niewidzialnego.

*Manfred.* Jednej tylko łaski..  
 Lecz pocóż mam powtarzać — byłoby napróżno.

*Wróżka.* Nie wiem czegoś chciał, powiedz.

*Manfred.* Dobrze. Męką dla mnie  
 Będzie to przypomnienie. Ale mniejsza o to.  
 Znajdzie głos boleść moja. — Od pierwszej młodości

Duch mój nigdy nie dążył ludzkich istot drogą,  
 Ni ludzkiemi oczyma na tę patrzył ziemię.  
 Wszelka żądza ich dumy dla mnie obcą była,  
 Obcym i cel ich życia. Moja radość, boleść,  
 Namiętność, siła ducha, wszystko mię czyniło  
 Cudzoziemcem ich świata. Sama postać tylko,  
 Nie współczucie z żyjącym łączyło mię rodem.  
 Z całej masy tych niskich, podłych tworów ziemi  
 Jedna — ach, jedna tylko — ale później o niej.  
 Z ludźmi, z myślami ludzi lekką tylko miałem  
 Styczność. — Moją rozkoszą było błądzić w puszczech,  
 Ostrem szczytów gór śnieżnych oddychać powie-

[trzem,  
 Gdzie ptak się nie śmie gnieździć, owad nad bez-

[trawnym  
 Nie ulata granitem. Ciskałem się w potok,  
 Nurzał w wirze bałwanów, toczył z pędem prądu  
 Po wodach z krą lejących, tak w rzekach jak morzu.  
 Był to tryumf sił młodych. Ileżkroć noc całą  
 Ciągnąłem z wolną okiem za ruchem księżyca,  
 Wpatrywałem się w gwiazdy i bieg ich śledziłem,  
 Wparłem wzrok w błyskawicę, aż się w oczach śmiło;  
 Patrząc na liść opadły słuchałem wieczorem  
 Wiejących mi jesiennych wiatrów smętej pieśni.  
 Ta rozkosz i samotność mojem szczęściem były,  
 A jeżeli istoty, z których liczby byłem,  
 (I stąd sobie obrzydły,) przeszły mi przez drogę,  
 Czuję, że tem zbliżeniem znów zniżyłem siebie  
 I znowu byłem ziemią. Wtenczas to myśl moją

Grażyłem po samotnych drogach w lochach śmierci,  
W skutkach śledząc przyczyny. Wówczas wycią-  
[gałem

Z spróchniałych kości, czaszek i tysiąca prochów  
Zakazane domysły. Tak całych lat noce

Trawiłem na naukach nigdy niezgłębionych,  
Prócz wstarych świata wiekach. Tak z pracą i czasem  
Przez próby najstraszniejsze, twarzą z ciałem waląc,  
Co sama już zdobywa władzę nad powietrzem,  
Duchami, (które w okół ziemi i przestrzeni,  
W okół nieskończoności zaludnionej krążą.)  
Oczym moje nareszcie oswoił z wiecznością.

Tak przedemną Magowie, tak Ten, co z ich wodnych  
Mieszkań przyzwał Anteros i Eros w Gadarze,  
Tak ja ciebie przyzwałem. Z każdym z mych docieżeń  
Rosta żądza dociekań, rosta władza, rozkosz  
Najświetniejszej nauki, dopóki.

*Wróżka.* Mów dalej.

*Manfred.* O dlatego się tylko tak długo rozwodzę,  
Z tak płonnych chlubię darów, ponieważ w tej chwili  
Zbliżam się już do rdzenia sercowej boleści.  
Lecz przystąpmy i do niej. Jeszczem ci nie wspomniał  
Ojca, matki, kochanki, przyjaciół, nikogo,  
Z którym wspólnie tu włókłem ziemskich węzłów  
[pęta.

Miałem te węzły, przecież sercem ich nie czułem.  
Lecz jedna była! —

*Wróżka.* Mów, mów, nie oszczędzaj siebie.

*Manfred.* Była do mnie podobną rysami — jej oczy,

Jej włosy — wyraz twarzy — sam dźwięk nawet głosu,  
Wszystko, jak powiadano, było jakby mojem,  
Lecz wszystko w słodszy kształcie, złagodzone  
[w piękność.

Równie jak ja lubiła samotne dumania,  
Pielgrzymki i zgłębiania tajemniczych nauk,  
I jak ja miała duszę zdolną świat ten pojąć.  
Ale słodsze od moich miała jeszcze władze.  
Litość, uśmiech, łzy miała, których ja nie miałem,  
I rzewną tkliwość, którą dla niej tylko czułem,  
Pokorę — której nigdy nie zaznałem w sobie.  
Błędy jej podzielałem, cnotom obcy byłem,  
Kochałem ją — zabiłem.

*Wróżka.* Twą ręką?

*Manfred.* Nie ręką.

Sercem serce zburzyłem. Spojrzało na moje  
I zwiędło. — Krew przelałem — nie jej krew —  
[a przecież

Jej to krew wytoczono. Patrzyłem się na to  
A zatrzymać nie mogłem.

*Wróżka.* I ty więc dla takiej  
Istoty tego rodu, którym sam pogardzasz,  
Stannu, nad który chciałeś się wynieść tą sztuką,  
Którą z nami obcuje — ty dlań zapominasz  
O darach naszej wielkiej nauki — i znowu  
Cofasz się w tę tchórzliwą śmiertelność? — Precz  
[z tobą!

*Manfred.* Córo powietrza! — słuchaj. — Od owej  
[godziny —



Ale słowa są wiatrem — patrz na mnie w śnie moim,  
 Lub czuwaj z czuwającym. Pójdź i zostań przy mnie.  
 Samotność samotnością dla mnie być przestała,  
 Jędze ją zaludniły. — Zgrzytałem zębami  
 Przez całą noc do rana. Przeklinałem siebie  
 Aż do słońca zachodu. Jak o łaskę niebios  
 Żebrałem o szaleństwo — i dać go nie chciały.  
 Szukałem wszędzie śmierci — lecz w burzy ży-  
 Wody się jak zakłęte cofały odemnie: [wiołów  
 Co mi śmierć przynieść miało, minęło bez śladu.  
 Zimną dłonią najsroższy duch mię za włos trzymał,  
 Za jeden tylko włos — a urwać się nie chciał.  
 Tonąłem w fantazyi, wyobraźni głębiach  
 W całej pełni, wezbraniu wszystkich nawał duszy,  
 Duszy — co niegdyś była Krezusem w tworzeniu.  
 Lecz jakby porwanego morskich wód odpływem  
 Zepchnięto mię znów w otchłań mej bezdennej myśli.  
 Rzuciłem się w wir ludzi. Chciałem zapomnienia.  
 Szukałem go we wszystkim, prócz gdzie znaleźć

[można.

Uczyć się tego muszę. Cały zbiór mych nauk,  
 Ta tak długo szukana i nadludzka sztuka  
 Płonem i są tu dla mnie. Rozpacz mojem życiem,  
 Przecież żyję i żyję na wieczność.

*Wróżka.* Być może,

Iż dam pomoc skuteczną.

*Manfred.* Ażeby mi pomódz,

Potrzeba zmarłych wskrzesić, lub mnie złożyć  
 [z nimi.

Uczyni to — w jakimkolwiek sposobie lub czasie,  
 Z jaką bądź dla mnie męką, byle już ostatnią.  
*Wróżka.* Nie jest to w mojej władzy, lecz jeśli  
 [przysięszes

Podległość mojej woli, każdy rozkaz spełnisz,  
 Mogę cię doprowadzić do życzeń twych celu.  
*Manfred.* Nie przysięgnę. Podlegać! Komu?  
 [Duchom, które

Na mój rozkaz stawają? ja mam być służalcem  
 Tych, co mi służą? Nigdy!

*Wróżka.* Ostatnież to słowo?  
 Czyż nie masz odpowiedzi mniej ostrej? Namysł się,  
 Rozważ wprzód, nim odrzucisz.

*Manfred.* Jużem dał odpowiedź.*Wróżka.* Dobrze! — a więc mogę już oddalić się?*Manfred.* Oddal.*Wróżka* znika.*Manfred* sam. Tak przestrachu jak czasu igraszka  
 [jesteśmy,

Dni się ku nam skradają, przekradają, giną,  
 Żyjem, brzydząc się życiem, a lękając śmierci.  
 Z wszystkich dni tego życia, jarzma obmierzłego,  
 Żyjącego ciężaru na walczącym sercu,  
 Które w troskach upada, żywiej bije w męce,  
 Rozkoszy, co się śmiercią lub omdleniem kończy,  
 Z wszystkich dni przeszłych, przyszłych, (obecności  
 [bowiem

Nie ma to życie nasze, jak mało tych liczym,  
 Jak mniej nawet niż mało, w których dusza nasza  
 Nie zatęskni za śmiercią — a przecież się cofa

Jakby od rzeki w zimie — choć dreszcz zanurzenia  
 Byłby tylko chwilowym. — Przecież w mej nauce  
 Jedną pomoc mam jeszcze. — Mogę przyzwać  
 [zmarłych

I spytać, czem być może to, czego się boim.  
 Najsroższą odpowiedzią „grób“ tylko być może,  
 Lecz ten niczem, dopóki nie przemówi zmarły.  
 Prorok wiedźmie Endoru dał z grobu odpowiedź,  
 Mocarz Sparty wymusił na niesennym duchu  
 Bizantyńskiej dziewicy odpowiedź i wyrok.  
 Nie widząc kogo zgładza, zabił tę co kochał,  
 I zmarł bez przebaczenia — a chociaż Jowisza  
 Wezwał w pomoc i kazał sławnym Fingalii  
 Czarnoksiężnikom zakląć jej cień oburzony,  
 By gniew złożył, lub zemście swojej kres nazaczył,  
 Dwuznaczną dał odpowiedź, i wyrok się spełnił.  
 Gdybym nie był żył nigdy, to com kochał tyle,  
 Żyłoby dotąd jeszcze — gdybym nie był kochał  
 To com kochał, aż dotąd żyłoby tak piękne,  
 Szczęśliwiące, szczęśliwe. A czemuż jest teraz?  
 Czem jest? — za zbrodnię moje ofiarą cierpiącą,  
 Czemiś, o czem pomyśleć się lękam — lub niczem.  
 W kilka godzin nie próżno zapytam się o to,  
 Ale teraz drzę przed tem, na co się odważam.  
 Dotąd się nie lękałem nigdy ujrzeć ducha  
 Ni dobrego, ni złego. Teraz drzę i czuję  
 Jakąś dziwną i zimną na mem sercu rosę.  
 Lecz mogę spełnić — nawet i to co wstręt budzi,  
 Przemódz bojaźń człowieczą. — Czarna noc się  
 [zbliża.

## SCENA III.

*Szczyty góry Jungfrau.*

*Pierwsze Przeznaczenie wchodzi.*

Księżyc zwolna się wznosi wielkim, jasnym kręgiem.  
 Tu na tych czystych śniegach, nieskalanych nigdy  
 Gminną stopą człowieka, krążymy po nocach,  
 I stąpamy bez śladu. Na tem dzikiem morzu,  
 Kryształnym oceanie piętujących się lodów,  
 Lekko po jego ostrych snujemy się łomach,  
 Co się zdają, jak burzy rozszalałej piana  
 Umarzła w jednej chwili — sam wir skamieniały.  
 Ten tak stromy, dziwaczny gmach skały — ten ziemi  
 Trzęsieniem wyrzeźbiony ogrom, na którego  
 Szczycie lotem znużony wypoczywa obłok,  
 Poświęcony jest naszemu i godom i pracom.  
 Tutaj czekam na siostry, tu na drodze naszej  
 Do gmachu Arimana, gdzie tej nocy dla nas  
 Tak wielka uroczystość. — Dziwno, że ich niema,

*Głos zewnątrz śpiewający.*

Podbijacz świata pojmany  
 Runął z szczytu swej wielkości  
 I samotny, zapomniany  
 W podłej gnuśnial bezczynności;  
 Lecz na głos mój się ocucił,  
 Podłe, ciężkie jarzmo zrzucił,  
 Został licznych szyków panem  
 I na nowo jest tyranem,

Odpłaci on mi hojnie zgubą państwa, tronu,  
Swą rozpaczą, ucieczką i krwią miliona.

*Drugi głos zewnątrz.*

Szybko okręt potężny morskie prąd głębiny,  
Skruszyła wszystkie maszty, potargała liny,  
Cały pokład strzaskała — nikt się nie ocalił,  
Żaden nędznik, któryby na swój los się zalił.  
Jeden tylko zbyt godny trosk moich nie zginął,  
Trzymałem go na włosie i brzegu dopłynął,  
Rozbijał on na morzu a zdradzał na ziemi:  
Niech żyje i zbrodniami cieszy mię dalszemi.

*Pierwsze Przeznaczenie* odpowiadając.

Rozległe miasto uspione,  
Zbliża się ranek powoli  
I przez łzawą mgłą zastonę  
Wielkiej przygląda niedoli.  
Ciężko, jak chmura ciężarna;  
Przepłynęła dżuma czarna  
I już tysiąc trupów leży.  
Dziesięć tysięcy tak padnie  
I srogość serca owładnie.  
Syn ojca, matka odbieży,  
Lecz i on się nie uchroni,  
Z niewidzialnej legnie dłoni.  
Boleść—przestrach—rozpacz zbladła,  
Z morem na lud cały padła.  
Szezęśliwi ci, co umarli,  
Co oczy swoje zawarli  
Przed tym tak rozległym zgonem,

Dziełem wśród jednej nocy popełnionem.  
Dzieło to mego czynu — trupów naród cały  
Widziały wszystkie wieki i będą widziały!

(Wchodzi drugie i trzecie Przeznaczenie).

*Wszystkie trzy.*

W naszym są rękę serca śmiertelników,  
Gdzie stąpim grób się roztwiera,  
Moc nasza darzy — lecz w zamian odbiera  
Dusze swoich niewolników.

*Pierwsze Przeznaczenie.* Witajcie! gdzie Nemezis?

*Drugie Przeznaczenie.* Jakież wielkie dzieło  
Zatrudnia ją — lecz czasu pytać się nie miałam.

*Trzecie Przeznaczenie.* Patrzcie oto przybywa.  
(Nemezis wchodzi).

*Pierwsze Przeznaczenie.* Gdzieżeś była? powiedz.  
Równie jak siostry moje zbyt późno przybywasz.

*Nemezis.* Musiałam potrzaskane ponaprawiać  
Żenić głupich, zrzucone dynastye wznosić, [trony,  
Za ludzi na ich wrogach dokonywać zemsty  
I znów że się pomścili, żal w ich sercu wzniecać,  
Mędrców pędzić do szafu, a głupich przetwarzać  
W wyrocznie nowych rządów, by świat gnieść  
[na nowo.

Ludzie bowiem już czas swój przerosli oddawna  
I śmiało wartość swoją rozważać zaczęli;  
Ośmielili się nawet królów kłaść na szale,  
Wynosić, wielbić wolność — owoc zakazany.  
Dalej! — przeszła godzina — wstępujemy na  
[chmury!

## SCENA IV.

*Sala Arimana. Ariman na tronie kuli ognistej,  
otoczonej duchami.*

## Hymn Duchów.

Chwała mistrzowi! chwała panu świata!  
On morza, ziemię i chmury przelata,  
Dłoń jego berłem żywiołów władająca  
Mięsza je, kłóci, w wir zamętu wtrąca.  
Odtechnie — morskie warzą się przestrzeńce,  
Ozwie się — chmura grzmotem odpowiada,  
Spójrzy — słoneczne pierzchają promienie,  
Stąpi — grzmi ziemia i świat się zapada.  
Pod jego stopą rodzą się wulkany,  
Cień jego dżumą — idzie, przez kometę  
Na gorejącem niebie poprzedzany.  
Gniew jego w popiół zamienia planetę.  
Wojna doń codzień z krwawym hołdem bieży,  
Śmierć płaci haracz. — Doń to wszelkie życie  
Z nieskończonością swych zgonów należy,  
I sam duch jego w każdym działa bycie!

(Wchodzi Przeznaczenia i Nemezis).

*Pierwsze Przeznaczenie.*

Chwała Arimanowi! władza jego rośnie,  
Spełniły jego rozkaz moje siostry obie,  
I jam nie zaniedbała powinności mojej.

*Drugie Przeznaczenie.*

Chwała Arimanowi! My, co ludzkie karki  
Na hołd dla nas zginamy, przed nim gniemy nasze.

*Trzecie Przeznaczenie.*

Cześć! cześć ci Arimanie. Czekamy skinienia.  
Nemezis. Mocarzu wszystkich władców! — do  
[ciebie należym,  
A wszystko co żyjące, mniej więcej jest naszym,  
Najczęściej przecież wszystko. Silimy się społem  
Zwiększaniem naszej władzy twoją moc po-  
[większać;  
Ciąglego trzeba trudu, lecz jesteśmy czujne.  
Rozkaz twój co do słowa spełniony.

(Wchodzi Manfred).

*Jeden z Duchów.* Któż to wszedł?

Śmiertelnik! Najzuchwalszy, najniebezpieczny prochu,  
Uklęknij i cześć składaj.

*Drugi Duch.* Znam go. Czarnoksiężnik.

Potęga jego wielką, a sztuka straszliwą.

*Duch trzeci.* Klęknij, złóż cześć, służalcze!

[czyż nie znasz mocarza

Tak twego jak naszego. Drżnij i pełnij rozkaz,

*Wszystkie Duchy.* Rzuć się na ziemię — rzuć

[się potępionem ciałem,

Płodzie ziemi! — lub kary najstraszliwszej doznasz.

*Manfred.* Znam ją — przecież nie klęknę.

*Duch czwarty.* Doznasz jej w tej chwili.

*Manfred.* Jużem — jużem jej doznał. — Ileż ja

[się nocy

Na ziemi — gołej ziemi moją kładłem twarzą,

Na włosy sypiąc popiół! — Już ja wyczerpałem

Całą nizkość pokory — bom upadł przed moją

Nadaremna rozpacz, bom ukląkł przed własnem  
Dziełem mojej zatury.

*Duch piąty.* Co! tybys mistrzowi  
Siedzącemu na tronie śmiał odmawiać tego,  
Co cała składa ziemia? — Jakto! czy nie widzis  
Tej grozy jego chwały? Ugnij się natychmiast.

*Manfred.* Niech on się ugnie przed Tym, co  
[nad nim panuje,  
Wszchemocnym — Nieskończonym — Twórcą, co go  
[stworzył

Nie na to, abym czeił go. Niech przed Nim  
A będziem klęczęc razem. [ukłęknie,

*Duchy.* Rozdepczcie robaka!  
Rozszarpajcie go na śmierć.

*Pierwsze Przeznaczenie.* Precz! precz! on jest  
[moim.

Królu władz niewidzialnych! śmiertelnik ten nie jest  
Z rządu pospolitego, jak to świadczy postać  
I przyjście jego tutaj. Bolesć jego była  
Nieśmiertelnej natury, podobna do naszej.

Jego wiedza, moc, wola, o ile to może  
Pogodzić się z ziemskością, która więzi w sobie  
Eteryzną duchowość, były tak potężne,  
Iż ziemia rzadko kiedy co równego dźwiga.

Popęd ducha wysoko uniósł go nad ludzi  
I to mu tylko odkrył, co my z wieków wiemy,  
Że wiedza nie jest szczęściem, lecz tylko prze-  
[mianą

Jednej niewiadomości w niewiadomość inną.

Namiętności do tego, ten dział nieba, ziemi,  
Od których żadna władza i żadna istota,  
Oddech nawet robaczka wolnym tu nie bywa,  
Zatrzęsły jego sercem — i ztąd stał się takim,  
Iż ja nawet, co nie znam litości, przebaczam  
Litującym się nad nim. On do mnie należy.  
Może być że do ciebie — lecz czy tak jest,

[czy nie,  
Z wszystkich duchów tej sfery żaden tutaj nie ma  
Podobnej jemu duszy, ni też władzy nad nią.

*Nemezis.* Pocóż więc tutaj przybył?

*Pierwsze Przeznaczenie.* Rozkaż, niech odpowie.

*Manfred.* Wiecie, o czem wiedziałem, że bez  
[silnej władzy

Nie mógłbym wśród was stanąć. Lecz są jeszcze  
[inne

Wyższe, silniejsze władze, — do tych ja przy-  
[chodzę,

By mi dały odpowiedź na to, czego szukam.

*Nemezis.* Czegóż żadasz?

*Manfred.* Nie ty mi odpowiedzieć możesz,  
Wywołaj zmarłych — zmarłych tylko pytać mogę.

*Nemezis.* Czyż, wielki Arymanie, skłaniasz się  
Śmiertelnika? [do życzeń

*Ariman.* Tak, — skłaniam.

*Nemezis.* Któż ma stanąć duchem?

*Manfred.* Ta, co dotąd bez grobu — wywołaj  
[Astartę.

*Nemesis.* Jaką bądź jesteś istotnością,

I pod jakim bądź imieniem,  
Czyliś duchem, czyli cieniem,  
Czy cząstkami, czy całością,  
Tej postaci — kształtu — ciała,

Z któremiś świat ten ujrzała

A co wróciły do ziemi,

Staw się przed oczy naszymi.

Przybierz dawne kształty swoje,

Niech się wszystko w tobie wznowi;

Serce — postać — piękność twoją

Wydrzyj grobów robakowi.

Jaw się! jaw! jaw!

I przed tym, co cię zgładził, znów się z grobu  
[staw!

(Wznosi się widmo Astarty i stawa w środku).

*Manfred.* I toż to ma być śmiercią? — Kwiat  
[życia na licach;

Ale nie — nie żyjąca to barwa — lecz dziwna

Jakby w febrze suchotnej — fałszywa czerwoność,

Jaką jesień powleka umarłe już liście.

Ona to! ona. — Boże, jaż to z dreszczem trwogi

Patrzę na nią, tę samą. — Astarte! — Ale nie,

Nie mogę do niej mówić, wy jej mówić każcie.

O przebacz mi, lub potęp.

*Nemesis.*

Przez moc co z grobów ciemnoty

Swem cię zakłębem wyrwała,

Przemów tu do tej istoty

Lub do mnie, com cię wezwała.

*Manfred.* Słowa nie przemawia-  
Milczenie to jest sroższem nad wszelką odpowiedź,  
*Nemesis.* Tu jest kres mojej władzy. Mocarzu

[powietrza,

Twojej ją mocy zdaję, rozkaż jej przemówić.

*Ariman.* Duchu! bądź mi posłusznym.

*Nemesis.* Jeszcze, jeszcze milczy.

Nie jest z naszego rządu, w innych władz jest  
[mocy.

Śmiertelniku! daremne jest twoje żądanie.

Z wstydem musim odstąpić.

*Manfred.* O słuchaj mię — słuchaj,

Astarte! życie moje! racz do mnie się ozwać.

Tylem, tylem wycierpiał, tyle jeszcze cierpieć.

Patrz na mnie! sam grób nawet nie zmienił cię  
[tyle,

Jak mnie żal mój za tobą. Nadtośmy nawzajem

Kochali się. — Nie na to byliśmy stworzeni,

By się tak dręczyć wzajem — chociaż naj-  
[czarniejszą

Zbrodnią było tak kochać, jak my się kochali.

O powiedz, powiedz tylko, że się mną nie brzydzisz,

Że ja sam całą karę za nas obu znoszę,

Że ty będziesz zbawioną — i że wreszcie umrę.

Gdyż tu wszystko najsroższe na to się sprzyścięgło,

By mię przykuć do życia — życia! które mi tu

Obrzydza nieśmiertelność — przyszłość mi po-  
[dobną

Przeszłości zapowiada. — Nie znam co jest pokój.

Nie wiem czego wymagam, nie wiem czego  
[szukam.

Czuję tylko, czem jesteś — i czem ja tu jestem.  
Chciałbym jeszcze przed śmiercią choć raz głos  
[twój słyszeć,  
Niegdyś duszy muzykę. Przemów, przemów do  
[mnie!

W czystych, pogodnych nocach wołałem na ciebie,  
Płoszyłem śpiące ptaki po ich cichych krzewach,  
Wilki w górach budziłem — czarnych pieczar echa  
Oznałem z twem imieniem — daremnie wołałem.  
Głazy dały odpowiedź — tysiąc rzeczy dało —  
Duchy — ludzie ją dali — tyś sama milczała.  
O przemów! — samem gwiazdy przechodził w czu-  
[waniu,

Na niebom próżno patrzył, szukając tam ciebie,  
Całą ziemię przebiegłem, a nigdzie nie znalazł  
Podobnej nawet tobie. Przemów, przemów, błagam;  
Spójrzaj na te złe duchy, — widzisz, czują ze mną,  
Nie trwożą mię, bo ciebie czują tu jedynie.  
O przemów choćby w gniewie — byłeś przemówiła,  
Potęp, przeklnij, lecz niech cię raz jeszcze usłyszę,  
Raz jeszcze — raz jedyny.

*Widmo Astarty.* Manfredzie!

*Manfred.* O mów, mów!

Cały żyję w jej głosie — jej to, jej głos słyszę.

*Widmo.* Manfredzie! — Jutro ziemskie zakoń-  
żęgam cię. [czysz cierpienia.

*Manfred.* Słowo jeszcze! — czyś mi przebaczyła?

*Widmo.* Żegnaj cię.

*Manfred.* Czy się kiedyś tam złączym?

*Widmo.* Żegnaj cię.

*Manfred.* Jedno słowo przez litość! — czy mię

*Widmo.* Manfredzie! [kochasz jeszcze?

(Duch Astarty znika).

*Nemezis.* Znikła i już nie da się odwołać.  
Spełni się co wyrzekła. Powracaj do ziemi.

*Jeden z Duchów.* Boleść nim ciska, szarpie —  
[takto zawsze bywa,

Ilećroć chce śmiertelnik w nadśmiertelność sięgać.

*Inny Duch.* Jednakże, patrzcie, patrzcie, jak  
[się sam przemaga,

Jak boleść woła gromi. Gdyby się był zrodził  
Jednym z nas, byłby duchem potężnym, stra-  
[szliwym.

*Nemezis.* Czyż wielkiego mocarza lub jego  
Masz jeszcze o co błagać? [czcicieli

*Manfred.* Nie mam.

*Nemezis.* Więc żegnaj cię

Do czasu.

*Manfred.* Spotkam cię więc jeszcze. — Gdzie?...  
[Na ziemi?

Jał chcesz. — Za łaskę, której doznałem od ciebie,  
Odchodzę twym dłużnikiem. Żegnaj cię nawzajem.

(Manfred wychodzi. Scena się zamyka).

## AKT TRZECI.

## SCENA I.

*Sala w zamku Manfreda.*

*Manfred.* Która godzina?

*Herman.* Jednej jeszcze braknie, hrabio,  
Do zajścia słońca. Zda się, że piękny mieć będziem  
Zachód.

*Manfred.* Czyli tak wszystko przyrzadziłeś  
Jakem rozkazał? [w wieży

*Herman.* Wszystko. Przynoszę ci, panie,  
Klucz i skrzyneczkę.

*Manfred.* Dobrze. Możesz się oddalić.  
(Herman wychodzi).

*Manfred* sam.

Jakiż pokój w mej duszy — niepojęta cisza.  
Nigdy podobnej jeszcze nie doznałem w życiu.  
Gdybym nie wiedział dobrze, że filozofia  
Z wszystkich naszych bawideł najłupszą jest  
[fraszka,

Najpróżniejszym wyrazem szkolnej gadaniny,  
Słuch nasz tylko zwodzającym, mniemałbym, że  
[znalazł

Tę złotą tajemnicę, to szukane — K a l o n  
I tam w duszy je złożył. — Wkrótce stan ten  
[minie;

Lecz dobrze choć raz w życiu takiej doznać  
O jedno uczucie moją rozszerzyła duszę. [ciszy.  
Zapiszę w moich księgach, że takie uczucie  
Istnieje tu istotnie. Kto tam wchodzi?

*Herman* wracając. Opat  
Z świętego Maurycego klasztoru przybyły  
Prosi hrabi o przystęp.

*Opat* wchodzi. Pokój z tobą, hrabio!

*Manfred.* Dzięki ci, święty ojece. Witam cię  
[w tym zamku.

Twoje przyście i chlubę i szczęście przynosi  
Mieszkańcom tego gmachu.

*Opat.* O gdybyć tak było!  
Lecz hrabio! chciałbym z tobą sam na sam  
[pomówić.

*Manfred.* Hermanie, odejdz. Cóż mi zacy gość  
[przynosi?

*Opat.* Nie chcę cię nudzić wstępem. Mój wiek,  
[stan, powinność,

Dobra chęć wreszcie, śmiałość niewinną moją.  
Nakoniec jak sąsiada, choć ci nieznanego,  
Racz mię słuchać łaskawie. — Szczególne odgłosy  
Bezbożnej nawet treści szerzą się w około.  
Brzmia one twem imieniem, imieniem tak światnem  
Od tylu wieków. Oby ten, co się niem zdobi,  
Przekazał je bez skazy!

*Manfred.* Cóż dalej? mów, słucham.

*Opat.* Mówią, że zwykłeś w takich zagłębiać  
[się rzeczach,



Których tu człowiekowi śledzić zakazano,  
 Że z mieszkańcami ciemnic odwiecznych się wdajesz,  
 Że obcujesz tu z mnóstwem duchów złych, wy-  
 [kłych,  
 Które w głębiach podziemnych, w cieniu śmierci  
 [krają.

Wiem, że z ludźmi, bliźnimi twymi, rzadko bardzo  
 Myśli twoje zamieniasz, że samotność twoja  
 Jest pustelniczą — oby w świętą się zmieniła!

*Manfred.* I któż są ci, co takie rozsiewają  
 [wieści?

*Opat.* Moi bracia klasztorni — strwożone wie-  
 [śniaki,

Lenniki nawet twoje. Niespokojnem, groźnem  
 Okiem patrzą na ciebie. — Niepewnyś jest życia,

*Manfred.* Odbierz je.

*Opat.* Ja ocalić, nie gubić przychodzę.  
 Nie chcę śledzić, nurtować po głębiach twej  
 [duszy,

Lecz jeżeli to jest prawdą, jeszcze czas jest, hrabio,  
 Do modły i pokuty. Zgódź się, złącz na nowo  
 Z prawowiernym kościołem, a przez kościół z niebem.

*Manfred.* Słuchałem, odpowiadam. Czem jestem,  
 [czem byłem,

Sprawa ta pozostanie między mną i Bogiem.  
 Nigdy za pośrednika nie wezmę człowieka.

Jeżelim wasze prawa zgwałcił — dowiedz —  
 [ukarż.

*Opat.* Nie o karze ja mówię, lecz o przeba-  
 [czeniu,

O pokucie, mój synu. Tyś sam winien obrać  
 Tę drogę już ostatnią. Wówczas kościół, wiara,  
 Dozwolą mi ułatwić ci drogę od grzechu  
 Do niebieskich nadziei i do lepszych myśli.  
 Pierwszą niebu zostawiam. Bóg to, Bóg powiedział:  
 „Do mnie zemsta należy.“ — Z drzeniem i pokorą  
 Sługa Jego powtarza to straszliwe słowo.

*Manfred.* Starcze, nie ma tej mocy żaden czło-  
 [wiek święty,  
 Niczem są modły — skrucha czyszcząca — wzrok,  
 [postać  
 Pokory — niczem post — śmierć — sroższe nawet  
 [od nich

Te wrodzone męczarnie trawiącej rozpaczy,  
 Które są jak zgryzoty, choć bez trwogi piekła,  
 A przecież dostateczne, aby samo niebo  
 W piekło zamienić. Nie, nie, wszystko to nie  
 [zdola

Żywego czucia grzechu z wolnej wydrzeć duszy,  
 Ni zbrodni, ni boleści — ni zemsty nad sobą.  
 Żadna przyszłość takiego, co się sam potępia,  
 Nie ukarze tak silnie, jak on własną duszę.

*Opat.* Wszystko to dobrze. Minie to bowiem,  
 [a błoga

Przyjdzie nadzieja, która z spokojną ufnością  
 Spojrzy na kraj zbawienia. Kto go szuka, znajdzie,  
 Jakiegokolwiek być mogą jego ziemskie błędy,  
 Byle żalem zmasane. Czuć potrzebę skruchy,  
 Już jest skruchy początkiem. Przemów, a w czem  
 [kościół

Może tylko oświecić, oświeci cię pewnie,  
I co może przebaczyć, przebaczonem będzie.

*Manfred.* Gdy szósty cesarz Rzymu blizkim  
[już był zgonu,

Sam sobie miecz wraziwszy dla ujścia sromoty  
Śmierci publicznej, którą ten sam senat wyrzekł,  
Co przed nim dotąd pełzał, — przyszedł pewien

I z przychylną litością chciał przysłużnym pła-  
[żołnierz  
[szczem

Krew mu wstrzymać z rozdartej buchającą rany.  
Konający Rzymianin, przeciw i w gasnącem  
Spojrzeniu cesarz jeszcze, odepchnął go i rzekł:  
Zapóźno! — toż to wierność?

*Opat.* Do czegoż to ściągasz?

*Manfred.* Odpowiadam z cesarzem — zapóźno!

*Opat.* Nie — nigdy

Zapóźno do zgodzenia się z duszą, zgodzenia  
Duszy z niebem. Czy nie masz nadziei? Rzecz  
[dziwna!

Ci nawet, którzy w górne nie wierzą nadzieje,  
Tworzą tu sobie marę i jakby tonący  
Tej wątlej się i łomnej chwytają gałązki.

*Manfred.* Ach ojcie! miałem kiedyś, miałem te  
[sny ziemskie,

Wrząłem niegdyś szlachetnym młodości popędem,  
Chciałem sobie przywłaszczyć ducha drogich ludzi,  
Zostać słońcem narodów — i wzbić się wysoko,  
I lecieć — lecieć — choćby na to, aby runąć,

Lecz runąć jak te szczytne w górach katarakty,  
Które z grzmotem z obłocznej buchnąwszy wyżyny  
[lejąc w sam war głębi, leżą tam w przepaści,  
Leżą — ale potężne. — Lecz już to minęło.  
Wszystkie się moje myśli zawiodły na sobie.

*Opat.* Jak to?

*Manfred.* Nie mogłem mojej zwyciężył  
[natury.

Kto chce panować, musi służyć, schlebiać, pełzać,  
W każdej chwili być czujnym, wciąż śledzić,  
[poziierać.

Żywem kłamstwem być musi, kto chce być naj-  
[wyższym

Pomiędzy nিকেzennymi — a taką jest masa.  
Nie chcę się mieszać z trzodą, chociażbym miał  
[zostać

Tej przywódcą — przywódcą nawet wilków  
[trzody.

Lew jest samotnym, takim i ja jestem.

*Opat.* Ale

Wzemu nie żyć w spółności, nie działać z drugimi?

*Manfred.* Cała moja natura życia sprzeczną była.  
Nie byłem przecież srogim, nie chciałem być  
[twórcą

Wniszczenia — ale chciałem je znaleźć — jak ten  
[wiatr,

Ten gorący, płomienny oddech samotnego,  
Sam um, ten syn pustyni, co przez martwe  
[piaski

Wiejąc — piaski bez krzewu, — huczy i szaleje  
 Po ich dzikich i suchych wałach — i nikogo  
 Nie szuka, byle nie był szukany, gdyż wówczas  
 W spotkaniu tem zabójczy. Takim był bieg mego  
 Żywota. Inne rzeczy stanęły mi później  
 Na drodze, ale już ich niema.

*Opat.* O Boże mój!

Zaczynam się obawiać, czyli pomoc moja  
 Nie będzie już za późną. — A przecież tak młody,  
 Chciałbym ci...

*Manfred.* Spójrzj na mnie. Jest tu rodzaj  
 [ludzi,

Co w młodości starzeje i kwitnąc umiera,  
 Choć nie gwałtowną śmiercią wojny. Jednych  
 [rozkosz

Zabija — drugich praca — nauka — znużenie —  
 Ci giną z chorób ciała, tamci z chorób duszy,  
 Innych zwiędłe, złamane zabijają serca.

Tą ostatnią chorobą, co tak różne bierze  
 Postaci i nazwiska, stokroć więcej ginie  
 Niżli los ich na swojej nakreślił tablicy.

Spójrzj na mnie! jam wszystkie te choroby,  
 [wszystkie

Przecierpiał — gdy dość jednej było. Nie dziw  
 [się więc,

Że tem jestem, czem jestem, lecz że kiedyś byłam  
 I że takim tu będąc, jeszcze jest na ziemi.

*Opat.* Słuchaj mię przecież...

*Manfred.* Starcze! szanuję twe lata,

Stan twój. — Wierzę, że zamiar przywiódł cię  
 [tu święty,  
 Lecz próżno. Nie bierz tego za skutek dzikości,  
 Więcej tobie niż sobie przykrości oszczędzam,  
 Unikając rozmowy. A więc — żegnaj ciebie.

*Manfred* wychodzi.

*Opat.* Jakby szlachetną mógł być istotą! —  
 Ileż w nim

Siły do wykształcenia pięknego obrazu  
 Z tylu świetnych żywiołów, zgodzonych roztropnie!  
 Teraz zamęt straszliwy — i światło — i ciemność  
 Duch — błoto — czyste myśli — brudne namiętności  
 Pomieszane bez ładu i w walce bez końca,  
 Śpiące lub też burzące. Zgubi się, a przecież  
 Nie powinien się zgubić. Raz jeszcze spróbujmy.  
 Tacy godni ratunku. Powinność mi każe  
 Na wszystko się odważyć dla dobrego skutku.  
 Pójdźmy za nim. Ostrożnie, przecież stale, mężnie.

Wychodzi.

## SCENA II.

*Inny pokój.*

*Manfred i Herman.*

*Herman.* Hrabio, przyjsć mi kazałeś przed  
 [słońca zachodem,  
 Teraz właśnie za góry ma zapaść.

*Manfred.* Czy tak jest?

Pójdę mu się przypatrzeć.

Przystępuje do okna.

Promienisty kręgu!

Bóstwo młodej natury — synów tych olbrzymów,  
Których miłość aniołów spłodziła z córami  
Śmiertelnych — piękniejszymi nad te uwiedzione  
Duchy, które ku ziemi ściągnęły niezwrotnie.  
Świetny, przepyszny kręgu! — tyś był jak Bóg  
[czczony,

Nim na jaw tajemnica stworzenia cię wyszła.  
Ty najranniejszy sługo Wszechmocnego, ty coś  
Na ich górach, chaldejskich zachwycił pasterzy,  
Póki dusz całych w modły nie wylali. — Widny,  
Materyalny Boże! — obrazie — i cieniu  
Nieznanego — ty celna gwiazdo — ty środkowy  
Punkcie światów, co ziemię tę nam znośną czynisz  
Który rządysz barwami i sercami wszystkich,  
Co w twojem żyją świetle. Królu por! Monarcho  
Wszystkich sfer i mieszkańców! Gdziekolwiek  
[tu żyjem,

Wszędzie duch nasz wewnętrzny równie jak  
[twarzą naszą  
Twą się barwą powleka. Wschodzisz — świecisz —  
[spadasz —

Zawsze w całej twej chwale. Żegnam cię, o słońce!  
Już cię nigdy nie ujrzę. Pierwsze me spojrzenie  
Miłości i zdziwienia było tu dla ciebie,  
Przyjmij i to ostatnie. Nigdy już nie będziesz

Przyświecać tu istocie, dla której dar życia  
Sroższem byłby nieszczęściem. — Zaszło. Pójdźmy

Odchodzi. [za niem.

### SCENA III.

*Góry. W niejakiej odległości zamek Manfreda. Taras  
przed wieżą. Zorza wieczorna.*

*Herman, Manuel i inni domownicy Manfreda.*

*Herman.* Dziwna rzecz! od lat tyłu, noc w noc,  
[i tak długo

Czuwający przesiedział w tej wieży, sam jeden  
Byłem tam nieraz wewnątrz jak i wy byliście,  
A jednakże z wszystkiego cośmy tam widzieli,  
Niepodobna wysledzić, czem się tak mozoli.  
To wiem, że jest tam pokój, w którym nikt nie  
[postał,

I chętnie z trzech lat moich ustąpiłbym zasług,  
Gdybym tylko mógł jego dociec tajemnicy.

*Manuel.* Byłoby niebezpiecznie. Przystań na  
[tem, co wiesz.

*Herman.* Manuelu, tyś mędrszy i starszy, ty  
[mógłbyś

Wiele wyjawić. Wszakże mieszkałeś w tym zamku.  
Ileż lat temu?

*Manuel.* Jeszcze hrabia Manfred nie żył,  
Gdym służył ojcu. Syn mu w niczem niepo-  
[dobny.

*Herman.* O iluż synach można to samo powiedzieć.  
Lecz w czymże się tak różnią?

*Manuel.* Nie mówię o rysach,  
Ni o postaci, lecz o umyśle, zwyczajach.  
Hrabia Zygmunt był dumnym, lecz wesołym, wolnym,  
Lubił wojny, hulanki, nie ślęczał nad książką,  
Nie krył się w samotności, nie trwonił swych nocy  
Na posępnem czuwaniu. Całą noc ucztował  
Głośniej nawet niż we dnie, nie błądził po lasach,  
Skałach, jakby wilk jaki, nie stronił od ludzi,  
Ni od ludzkiej zabawy.

*Herman.* Niech je liecho bierze!  
Piękneż to były czasy. O gdybyć na nowo  
Powróciły do zamku — lecz on tak wygląda  
Jakby o nich zapomniał.

*Manuel.* Zamek ten musiałyby  
Wprzódzy pana odmienić. Dziwneż ja to, dziwne  
Rzeczy tutaj widziałem.

*Herman.* Daj się, daj uprosić,  
Opowiadaj, a łatwiej sen spędzimy z oczu.  
Napomykałeś dawniej o pewnem zdarzeniu,  
Które tu przy tej wieży miało stać się niedługo.

*Manuel.* Noc to była okropna. Pamiętam ją  
[dobrze.

Szary mrok świat ociemnił, właśnie jakby teraz,  
I taki sam był wieczór. Ten czerwony obłok,  
Co wisi nad Eigerem, i wtenczas tak wisiał,  
Zupełnie jakby ten sam. Zerwał się wiatr nocny,  
Lecz łagodnie powiewał. Księżyc z chmur wyblysnął

I po wszystkich się górach roziskrzyły śniegi.  
Hrabia Manfred jak teraz był tam w swojej wieży,  
Lecz nie wiemy co robił. Była tam zarazem  
Jedyna towarzyszka jego nocnych czuwań  
I odludnych pielgrzymek, ta, którą ze wszystkich  
Istot tej ziemi zdawał się kochać jedynie,  
A której sam krwi związek już mu kochać  
[wzbraniał,  
Astarte — jego własna... Ciszej! ktoś nadchodzi.  
Wchodzi opat klasztoru.

*Opat.* Gdzież jest pan wasz?

*Herman.* Tam w wieży.

*Opat.* Muszę z nim pomówić.

*Manuel.* Nie można. Sam jest tylko. Nikogo  
Nie wolno. [wprowadzać

*Opat.* Sam odpowiem za winę, jeżeli  
Jest to winą, lecz muszę widzieć go koniecznie.

*Herman.* Wszakżeś, panie, już tego widział go  
[wieczora.

*Opat.* Hermanie, rozkazuję. Zastukaj i powiedz  
Hrabiemu, że tu jestem.

*Herman.* Nie śmiem.

*Opat.* A więc muszę  
Sam wniknąć bez opowiedzi.

*Herman.* Stój! ojczye wielobny,  
Zatrzymaj się na chwilę.

*Opat.* Czemu?

*Herman.* Pójdź tu wprzódzy,  
Pójdź za mną, a o wszystkim dowiesz się odemnie.

## SCENA IV.

*Wnętrz wieży.**Manfred sam.*

Gwiazdy w całej świetności. Księżyc nad szczytami  
Gór śnieżno-jasných. O jak pięknie! Dotąd jeszcze  
Tak mi błogo z naturą. Mnie znajomszem było  
Ciemne nocy oblicze niżli twarz człowieka.

Jam w jej cieniu gwiazdzistym, w jej mrocznej,  
[samotnej

Swobodzie, wyuczył się tajemniczej mowy  
Świata innego. Pomnę, jak w młodości mojej,  
Kiedym był na podróżach, — w takiej właśnie nocy  
Stałem w pośród potężnych Kolizeum murów,  
Celných, świętych ostatków wszechmocnego Rzymu—  
Drzewa co wzdłuż złamanych rozrosły się łuków,  
Ciemno się kołysały w błękitnej północy,  
Przez szczeliny rozwalin przeglądały gwiazdy.  
Strzegący pies zdaleka z po za Tybru czekał,  
Bliżej z gmachów Cesarza słycać było długie  
Sów krzyki i czasami pieśń odległej czaty  
Ozwała się i w wiatru skonała powiewie.  
Kilka cyprysów po za starymi rozłomy,  
Chociaż na strzał odległych — zdało się widnokraj  
Oczu mych ograniczać. Gdzie niegdyś cezary  
Poz bywały, a teraz noce huczą ptaki,  
Wyrosł gaj wśród rozwalin tych upadłych gmachów  
I w gruzach się cesarskich rozkorzenił ognisk.

Stoi dotąd skrwawiony cyrk gladyatora,  
Stoi ten szczyt szlachetny — arcydzieło ruin! —  
Gdy komnaty Cezara, Augusta podwoje  
Zaledwie już widzialnym gruzem ścielą ziemię,  
Ty ciągle się toczący księżycu, tyś wszystko  
Oświecał, a rozległy i smętny blask lejąc  
Łagodził twardą dzikość strasznego zniszczenia,  
I na nowoś zapełniał, jakbyś odbudował  
Potężne wieków wyrwy. Tyś wszystko zostawił  
Co pięknem jeszcze było, a co niem nie było,  
Podniósł do piękności — aż wszystko nabrało  
Świętości religijnej; a z serca się łała  
Cicha cześć dla wielkości mężów starożytných,  
Zmarłych, lecz berłowładzców—którzy i zurn swoich  
Panują duchom naszym. — Taką noc ta była.  
Dziwna rzecz, że w tej chwili przyszła mi na

[pamięć;  
Lecz stokroć doświadczałem, że właśnie w tej  
[dobie  
Dzikim pędem myśl nasza ucieka w dalekość,  
Gdy w porządek rozważy szykować ją chcemy.

Opat wchodzi.

*Opat.* Hrabio, przebac łaskawie powtórnemu  
[przyjściu,  
Niech cię swoim natręctwem pokorna gorliwość  
Nie pobudza do gniewu. Jeżeli na złe wyjdzie,  
Niech to złe spadnie na mnie, dobry tylko skutek  
Niech spłynie na twą głowę—ręchym wolał serce.  
O gdybym je mógł wzruszyć słowy lub modłami,

Szlachetną ocaliłbym duszę — oblakaną,  
Lecz nie zgubioną jeszcze.

*Manfred.* Nie — nie znasz mię, ojciec.  
Dni moje policzone, zapisane czyny,  
Precz! lub niebezpieczeństwo czeka cię tutaj. Precz!

*Opat.* Nie chcesz mi przecie grozić?

*Manfred.* Nie — uprzedzam tylko,  
Że blizkim jesteś zguby, i chcę cię ratować.

*Opat.* I cóż przez to rozumiesz?

*Manfred.* Spójrzij tu. Cóż widzisz?

*Opat.* Nic.

*Manfred.* Patrz tylko. Wyteż wzrok. Teraz  
[mów, co widzisz.

*Opat.* To co mrozem przestachu wstrząsnąć  
[by powinno,

A przecież mię nie wstrząśnie. Widzę jakąś postać  
Ciemną grozną, okropną, wychodzącą z ziemi,  
Podobną bogu piekła; twarz swą płaszczem słońi,  
Cała jak gdyby groźną obwiniona chmurą  
Stoi tu między nami — nie lękam się przecie,

*Manfred.* Nie masz się czego lękać, nic ci nie  
[uczyni.

Sam jej widok jednakże mógłby lodem śmierci  
Sciąć twoje stare członki. Radzę ci więc, uchodź.

*Opat.* Nigdy, dopóki tego nie przewalczę ducha.  
Po cóż on tu przybywa?

*Manfred.* Tak jest. Po co przybył?  
Nie posłałem po niego — przybył niewezwany.

*Opat.* Zgubiony śmiertelniku! na cóż ci się  
[wdawać

Ż podobnemi istoty! Drzę o ciebie. Czemuż  
Tak na siebie patrzycie? Ach twarz swą odsłania,  
Całe czoło gromami piorunów zorane,  
W oczach jego goreje nieśmiertelność piekła.  
Precz stąd!

*Manfred.* Mów, po coś przybył?

*Duch.* Pójdź! pójdź!

*Opat.* Któż ty jesteś,

Nieznana istoto? Mów.

*Duch.* Jestem geniuszem

Jego. Pójdź! czas twój przyszedł.

*Manfred.* Na wszystkim jest gotów,  
Ale przeczę tej władzy, która mnie przyzywa.  
Któż cię przysłał?

*Duch.* Dowiesz się o tem wkrótce. Pójdź!  
[pójdź!

*Manfred.* Rozrządzałem istoty wznioślejszej  
[natury

Niż twoja. Z pany twymi walczyłem. A więc precz!

*Duch.* Śmiertelniku! Przyszedł czas twój. Dalej  
[więc ze mną!

*Manfred.* Wiedziałem ja, że moja dobiega godzina,  
Lecz nie na to, bym takim jak ty oddał duszę.  
Precz! jakim żyłem, takim i umrę — samotnym.

*Duch.* A więc braci mych przyzwę. Powstańcie!  
Duchy się ukazują.

*Opat.* Precz! precz ztąd!  
Duchy piekła, precz mówię! Tam gdzie kościół  
[włada,

Wy jesteście bez mocy. Zarzekam was w Imię..

*Duch.* Starcze! Znamy moc naszą i rozkaz

[nam dany,

Wiemy, żeś kapłan. Nie trwoń świętych słów

[daremnie,

Nic one nie pomogą. Człowiek ten zgubiony;

Raz jeszcze wzywam — pójdz, pójdz!

*Manfred.* Wszystkim wam zaprzeczam

Władzy nademną, a choć czuję, że się dusza

Już oddziela od ciała, zaprzeczam jej przecie:

Nie ustąpię, dopóki tyle mam oddechu,

Abym mógł na was moją wyzionąć nienawiść,

A tyle ziemskiej siły, by z duchy walczyła.

O każdy z moich członków łamać się będziemy.

*Duch.* Nieprzeparta istoto! tenże to jest z ciebie

Czarnoksiężnik, co przez świat niewidzialny krocząc

Chciał się z nami porównać? Któżby to był

[mniemał,

Że ty życie tak kochasz, ty, to samo życie,

Źródło twoich niedoli!

*Manfred.* Kłamiesz, zradna jędzo!

Wiem, że życia ostatnią już żyję godzinę,

I nie chciałbym o jedną przedłużyć je chwilę.

Nie przeciw śmierci walczę, ale przeciw tobie

I tym duchom tu w koło. Nie w skutku układów

Z tłuszczą twoją nabyłem tej potężnej władzy,

Lecz przez wyższą naukę, łamanie się z ciałem,

Śmiałość, nocne czuwania, moc duszy, zgłębianie

Mądrości dawnych mężów (kiedy na tej ziemi

Ludzie i duchy jeszcze przebywały razem,

A wyście bez przewagi byli). — Ja na własnej

Stoję tu mocy. Przeczę więc waszej. Szydę z was.

Odrącam. Gardzę wami!

*Duch.* Twoje mnogie zbrodnie

Uczyły cię moim.

*Manfred.* A tobie co do nich?

Więc do zbrodni karania innych trzeba zbrodni,

Zbrodni większych zbrodniarzy? Precz do twego

[piekła!

Czuję w duszy, że nad mną żadnej nie masz

[władzy

I zbyt dobrze wiem o tem, że mię nie posiadzisz.

Com spełnił — to spełnione. Noszę ja tu w sobie

Męczarnię, której twoje zwiększyćby nie mogły.

Duch jako nieśmiertelny, sam sobie odpłatą

Tak złych jak dobrych myśli — sam źródłem,

[sam końcem

Złego, sam sobie miejscem, sam czasem. Jego zmysł

Wewnętrzny z śmiertelności wyzwolon, nie wciąga

W siebie barwy znikomych i wewnętrznych rzeczy.

Drepczą ducha męczarnie lub też radość poi

Podług wewnętrznej wartości, jaką uzna w sobie.

Nie! nigdyś mię nie kusił i skusić nie mogłeś,

Nie byłem twą igraszką i łupem nie będę.

Sam własnym burzycielem byłem tu dotychczas,

Sam nim będę na wieczność. — Precz, pobite

[duchy!

Jest na mnie ręka śmierci, lecz nie wasza ręka.

Nikną Demony.



*Opat.* Niestety! jakżeś blady—usta twe zbieleły,  
Piers się wznosi i oddech tak ciężko pracuje.  
Głos twój w gardle chrzypiący. Podnieś myśl do  
[Boga,

Módl się choćby i w myśli—lecz tak nie umieraj.

*Manfred.* Przeszło. Wzrok mój ocmiony już  
[cię nie rozezna

I wszystko zda się płynnem okrążyć mię kołem,  
Ziemia rośnie podemną. Bądź zdrow. Daj mi rękę.

*Opat.* Zimno, zimno, Niestety, już serca dosięga.  
Jedną tylko modlitwę! — Jakże ci jest, powiedz.

*Manfred.* Widzisz, starcze, że nie tak trudno  
[jest umierać.

Manfred umiera.

*Opat.* Stało się. Skończył. Dusza jego uleciała.  
Dokąd? -- nie śmiem pomyśleć — lecz już po  
[wszystkiemu.





105854

Niema człowieka, któryby wśród setek jej tomików nie znalazł rzeczy pożądanych i zajmujących.

Biblioteka Powszechna już w trzecim roku swego istnienia odznaczoną została medalem wielkiej wystawy krajowej we Lwowie, a w bardzo licznych głosach prasy odzywało się żywe uznanie dla jej zasług około szerzenia oświaty.

Inne wydawnictwo tejże firmy Księgarskiej W. ZUKERKANDLA w ZŁOCZOWIE ma na oku nasze pokolenie dorastające. Jest to

**BIBLIOTEKKA DLA BZIECI I MŁODZIEŻY**  
zawierająca książeczki zajmujące, zabawne i pouczające. Każdy tomik w skromnej ale gustownej oprawie, stanowi odrębną całość i jest osobno do nabycia.

Taż firma Księgarska W. ZUKERKANDEL w ZŁOCZOWIE wydaje pod tytułem

**BIBLIOTEKA KLASYKÓW RZYMSKICH I GRECKICH**  
preparacje do lektury autorów starożytnych w gimnazjach.

**Każdy zeszyt osobno do nabycia.**

0083 105857  
Najtańsze polskie wydawnictwo:

**BIBLIOTEKA POWSZECHNA**  
**ZUKERKANDLA.**

Dotychczas wyszło

**1197** numerów.



Każde dzieło

osobno do nabycia.

Na składzie w księgarniach.

SZCZEGÓLWE KATALOGI NA ŻĄDANIE DARMO I OPLATNIE.

**MAJ 1930.**

**NAJNOWSZE TOMIKI:**

1156-1158ab. Schiller, Poezje w najlepszych przekł.  
polskich. Zebrał i wydał Dr. Albert Zipper. Wydanie  
trzecie przejrzane i uzupełnione.

1159. Siemieński, Portrety literackie III. Kajetan Koźmian

1160-1165. Kraszewski, Historia o Janaszu Korczaku  
i o pięknej Miecznikównie.

1166-1170. Kraszewski, Ostatni z Siekierzyńskich.

1171-1176. Siemieński, Portrety literackie IV. Fran-  
ciszek Morawski.

1177-1178. E — Żel, Zbiór pasjansów.

1179. Ujejski, Tłumaczenia Szopena i Beethovena.

1180-1183. Kraszewski, Chata za wsią. Tom I.

1184-1187. „ „ „ „ „ II.

1188-1197. Malinowski, Życie i dzieła Stefana Żerom-  
skiego. Charak. liter. T. XXII.

**Dalsze tomiki w druku.**